

Jan Rokita: Ścięcie Kocmołuchowicza

Polak czy Ukrainiec nie muszą podzielać amerykańskiego lęku przed wyłaniającą się „osią eurazjatycką”. Rosja zwasalizowana przez Chińczyków cywilizacyjnie odwróci się od Zachodu, a tym samym nie odzyska już budowanej od czasów Piotra I roli kluczowego uczestnika gry o Europę. A to właśnie, od dobrych paru stuleci, jest przecież największym polskim marzeniem politycznym – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Przemile i pełne serdeczności odwiedziny, jakie właśnie złożył na Kremlu Xi Jinping, wywołały globalny zalew komentarzy poświęconych skutkom przymierza chińsko-rosyjskiego. I chyba po raz pierwszy w „kwestii chińskiej” pojawiło się coś w rodzaju *opinio communis* wolnego świata, przynajmniej gdy idzie o dwie tezy o sporym znaczeniu. Po pierwsze, nawet tradycyjni sinofile, przez cały poprzedni rok nie dowierzający, iż Pekin naprawdę traktuje wojnę, jako dobry powód do ugruntowania przymierza z Moskwą, w końcu skapitulowali, nie mogąc nadal kwestionować twardych faktów. Putin powitał na Kremlu Xi Jinpinga, jako swego „drogiego przyjaciela”, ten zaś nie tylko wyraził wobec władcy Rosji swoją „głębką wdzięczność”, ale też dość euforycznie (jak na Chińczyka) ocenił przyjaźń chińsko-rosyjską, jako „wzrastającą każdego dnia”. I można by pewnie machnąć ręką na te ostentacyjne serdeczności, gdyby nie właśnie twarde fakty: całkowite zrozumienie Xi dla konieczności inwazji Ukrainy, coraz bardziej jawne dostawy chińskiej broni oraz fala negocjowanych umów surowcowych.

Sojusz polityczny, sojusz militarny, sojusz gospodarczy... Czegóż więcej trzeba dla wyłaniającego się z toku wojny dwójprzymierza, albo też „osi eurazjatyckiej” (jak ją nazwał ostatnio John Bolton)?

Wedle tezy drugiej – dziś jest już całkiem jasne, że komunistyczne Chiny skorzystały na wybuchu wojny w Europie. Choć ciągle pozostaje wątpliwość, na ile w chińskim Politbiurze wznoszą toasty za każdy kolejny dzień trwania wojny, na ile zaś mogą niepokoić się nieobliczalnością, bądź też wizją nadmiernych wojennych kłopotów władcy Rosji. W Pekinie nie chcieliby zapewne, aby sprawy rozwinęły się dla Putina aż tak kiepsko, by trzeba było na gwałt, i to na oczach całego świata, ratować Moskwę przed groźbą wojennej katastrofy i smuty. Ale to jest ryzyko skrajne, na które na razie się nie zanosí. Zaś jeśli wojna ma trwać długo i wyglądać mniej więcej tak, jak do tej pory, to Pekin musi traktować ją jako prawdziwy dar fortuny. Oto imperium rosyjskie, które raptem kilka dekad temu miało moc, aby zainstalować wasalny reżim komunistyczny w Chinach, teraz wpakowało się w takie kłopoty, że z suzerena samo staje się wasalem, zależnym od chińskiego patronatu. Oto Ameryka, która od czasu Trumpa zdecydowała bić się z Chinami o prymat w Azji, teraz wciąga się coraz głębiej w przewlekłą awanturę we wschodniej Europie. No i *last but not least* – oto niemal cały dawniejszy „trzeci świat”, który po cichu cieszy się, że biali ludzie znów mordują się pomiędzy sobą, teraz potrzebuje nowego globalnego lidera, podzielającego te odczucia. Tak przyjazne dla Pekinu wiatry nie wiały dotąd w ciągu całej długiej epoki, którą na Zachodzie zwykliśmy zwać nowożytnością.

Jeśli na te nowe realia spojrzeć z perspektywy walki o świat, to jest jasne, że stanowią one spory kłopot, zwłaszcza dla globalnie myślącej Ameryki. Odtwarza się bowiem ós, którą już raz, dawno temu, rozbił

*Dziś jest już całkiem jasne, że
komunistyczne Chiny
skorzystały na wybuchu wojny
w Europie*

zrećznie Henry
Kissinger, a przed
której odrodzeniem
ostrzegali od lat co
bardziej
„rozumiejący Rosję”
komentatorzy i
politycy. Jeszcze nie

tak dawno znakomity włoski magazyn polityczny „Limes”, w specjalnym numerze poświęconym cywilizacyjnej misji Italii we współczesnym świecie, dowodził, iż ową misją jest „wykorzystanie sytuacji tak, aby popchnąć Rosję w stronę Zachodu, uwalniając ją z chińskich objęć”. Tak właśnie pisał prof. Pietro Figuera z rzymskiego Istituto di Studi Politici S. Pio V, autor głośnej książki „La Russia nel Mediterraneo”. Figuera jest tylko przykładem całego legionu intelektualistów i polityków zachodnich (z Obamą na czele), próbujących przez lata różnych poświęceń, zwłaszcza kosztem interesów Europy Środkowo-Wschodniej, po to właśnie by zablokować proces odradzania się „osi eurazjatyckiej”. Ich pragnienie legło dziś w gruzach, raz – na skutek twardej woli niezależności narodów naszej części Europy, z Ukraińcami i Polakami na czele; dwa – w efekcie okrucieństw popełnianych przez armię rosyjską w trakcie obecnej wojny. Dziś skazani są oni na milczenie, co nie zmienia faktu, że ich czarne proroctwo na temat „chińskich objęć” właśnie zaczęło się wypełniać.

Jednak rzeczy niekoniecznie mają się tak czarno, jeśli patrzeć na nie partykularnym okiem Polaka, czy szerzej – obywatela „nowej Europy”. Z tej perspektywy kluczowe bowiem jest nie tyle wielkie pytanie o walkę o świat, co trochę mniejsze – o polityczny ład naszego regionu. A konkretnie o to, jaka Rosja będzie na przyszłość „wygodniejsza” dla

swoich zachodnich sąsiadów? Suwerenna, zorientowana na Zachód i tam prowadząca swe zręczne gry, ale w ostateczności zdana na samą siebie i swoje nieokiełznane pragnienie obalenia europejskiego *status quo*? Czyli ta Rosja, z którą mieliśmy do czynienia przez długi czas, aż do ubiegłorocznej nieudanej operacji przejęcia Ukrainy. A może jednak trochę inna, powoli wyłaniająca się właśnie z zamętu trwającej wojny? Czyli wasalna wobec azjatyckiego mocarstwa, a siłą dziejących się faktów zmuszona do lokowania swych głównych interesów na azjatyckim wschodzie, choćby tylko po to, by nie stracić twarzy w przewlekłej, pozycyjnej wojnie, toczonej już coraz bardziej tylko o utrzymanie panowania nad Krymem i Donbasem. Ta pierwsza – to Rosja trzymająca się politycznego testamentu Piotra I; ta druga przypomina nieco dawną Moskwę, z czasów, gdy za swe polityczne istnienie musiała płacić haracz dominującym Mongołom.

Widać, że perspektywa walki o świat oraz partykularne oko obywatela „nowej Europy” – to odmienne punkty widzenia na przymierze chińsko-rosyjskie. Trudno się więc dziwić, że dla kogoś takiego jak wspomniany już John Bolton (a więc dla typowego imperialisty amerykańskiego) owo rysujące się na horyzoncie przymierze jest niczym „dzwonek alarmowy”. Łączy ono bowiem potencjały dwóch najsilniejszych autokracji, z których jedna dysponuje potężną i prącą do przodu gospodarką i technologią, zaś druga ogromnymi zasobami surowców i najliczniejszym na globie arsenałem jądrowym. Więc jeśli miałyby kiedyś dojść do wielkiej wojny o hegemonię nad światem, to Ameryka potrzebować będzie odtąd trudnej zdolności prowadzenia jednoczesnej bitwy o Europę i Azję. W przeciwieństwie jednak do imperialisty amerykańskiego, Polak czy Ukrainiec nie muszą podzielać owego lęku przed wyłaniającą się „osią eurazjatycką”. Są po temu co najmniej dwa, całkiem rozsądne powody. Pierwszy ten – że pod kuratelą chińską Moskwa będzie musiała się na przyszłość

samoograniczać, choćby tylko na tyle, aby w przyływie desperacji nie użyć broni masowego rażenia, albo nazbyt pochopnie nie sprowokować Amerykanów do przystąpienia do wojny. Pekin nie jest jeszcze przygotowany na globalny konflikt, więc jego wasal będzie się musiał odtąd z tym liczyć. A Moskwa całkiem suwerenna będzie dla nas zawsze stanowić większe ryzyko, niżli Moskwa pod choćby częściowym obcym nadzorem. Drugi powód jest jeszcze bardziej zasadniczej natury: Rosja zwasalizowana przez Chińczyków cywilizacyjnie odwróci się od Zachodu, a tym samym nie odzyska już budowanej od czasów Piotra I roli kluczowego uczestnika gry o Europę. A to właśnie, od dobrych paru stuleci, jest przecież największym polskim marzeniem politycznym.

*Moskwa całkiem suwerenna
będzie dla nas zawsze
stanowić większe ryzyko, niżli
Moskwa pod choćby
częściowym obcym nadzorem*

Rzecz jasna, obie te perspektywy mogą któregoś dnia się niebezpiecznie zejść, jeśli miało się okazać, że wasalizacja Rosji stanie się wstępem

do chińskiej hegemonii nad światem. Czyli do swoistego „końca historii”, tyle że w chińskim, a nie zachodnim wydaniu. Zważywszy potiomkinowską słabość rosyjskiej państwowości oraz postępujący rozkład wewnętrzny Europy – jest to możliwość realna, choć na razie dziejowo odległa. Chiny to klasyczna wschodnia despotia, w której w 1989 roku *in statu nascendi* zduszono ideę ludzkiego indywiduum, wyposażonego w dar wolności i transcendentną godność. Stąd współczesna relewantność słynnej literackiej wizji Witkacego, jedynej takiej w piśmiennictwie polskim, gdzie mowa o „żółtych małpach, które rzną teraz na Europę”. Moskwa upada tam na skutek ekspansji ze wschodu, a ostatni car Kirył ratując życie ucieka do Warszawy. Nigdzie

indziej uciec nie może, gdyż w Europie już wcześniej zapanował zdegenerowany komunizm. Zachodniej cywilizacji broni już zatem tylko rządzący w Polsce perwersyjny, ale liberalny dyktator – generał Kocmołuchowicz. Jednak w krytycznej chwili, gdy Polska ma się ostatecznie zetrzeć z Chinami, pod wpływem narkotycznych tabletek rozpowszechnianych przez Azjatów, Kocmołuchowicz poddaje się, zamiast stoczyć wielką bitwę. I jako ostatni (nieudany) obrońca cywilizacji indywidualizmu zostaje przez Chińczyków ścięty mieczem katowskim przed jakimś polskim dworem na Białorusi, gdzie stacjonuje chińskie dowództwo. Jednak Witkacy nie był przecież politycznym strategiem, trzeźwo analizującym skutki wzrostu chińskiej potęgi dla naszego regionu, ale prorokiem, wieszczącym nieuchronność klęski Zachodu w toczącej się walce o świat.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
